

"ŚWIAT"

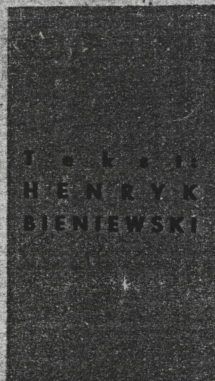
NR 10

9 III 58

Nr. 10 z dn. 9 III 1958

XFLW8

NIECO SPÓŹNIONE ROZWAŻANIA



HENRYK
BIENTEWSKI

WYSZEDŁEM z przedstawienia „Bal manekinów” z uczuciem oczarowania. I nie tylko dlatego, że utarła się niejako tradycja udanych wizyt tzw. teatrów prowincjonalnych. Przedstawienie to zawiodło wielu widzów zarówno wskutek słabości dramatu, jak i małej stosunkowo inwencji inscenizatora. A tymczasem przyzwyczailiśmy się, że w dostojną ciszę królującą na stołecznych scenach wdziera się co pewien czas prowincjonalny intruz z „cyrkiem i fajerwerkami”.

Nie zamierzam pisać mocno przedawnionej już dziś recenzji z przedstawienia katowickiego. Interesuje mnie natomiast zagadnienie związane z gościnnymi występami teatrów pozawarszawskich.

Gdy cofam się myślą wstecz, widzę pięć przedstawień, które oglądaliśmy w Warszawie na zasadzie występów gościnnych, będących widowiskami na wskroś politycznymi. Wymieńmy je chronologicznie: „Łażnia”, „Pluskwa”, „Święto Winkelrida”, „Miarła za miarłkę” i „Bal manekinów”.

„Łażnię” wystawił teatr Dejmska, „Pluskwę” przywieźli z Kielc Byrscy, „Święto Winkelrida” — Łódź, „Miarłkę za miarłkę” pokazał nowohucki teatr Skuszanki i wreszcie „Bal manekinów” — Katowice.

Stara to prawda, że nie ma pełnego życia teatralnego bez sztuk współczesnych. Oczywiście przy szerokim rozumieniu współczesności, bez względu na epokę, w jakiej rozgrywa się akcja danego dramatu.

Życie jednak biegnie zawsze szybciej niż myśl dramaturgów — i dlatego reżyser zmuszony był wypowiadać się na temat nurtujących go problemów politycznych za pomocą sięgania do klasyki i tak zwanego nowego jej odczytywania. W ten sposób utwory klasyczne nabierały różnej aktualności w różnych epokach.

W atmosferę zastoju w stołecznym życiu teatralnym przed XX Zjazdem wdarł się łódzki teatr z przedstawieniem mającym posmak politycznego pieprzyka: „Łażnia”. Cała Warszawa tłoczyła się u wrót Teatru Narodowego. Zobaczyliśmy „Łażnię” dziwną, jak na owe czasy — ekstrawagancką, ale jasną i zrozumiałą dla każdego.

Cechą charakterystyczną Dejmskewego przedstawienia było nie tylko śmiałe odczytanie wścieklej satyry Majakowskiego, ale aktualnienie sztuki napisanej przed dwudziestu pięciu laty. Inscenizator wypunktował wszystkie momenty polityczne, podkreślił satyrę społeczną i nie ograniczając się do pracy nad tekstem uruchomił wszelkie możliwości inscenizacyjne, wysuwając na pierwszy plan scenografa. Wówczas oszłomiły Warszawę nie tylko monstrualne biurka piekielnych biurokratów oraz cyrkowo wymalowane oblicza Pobiedonosikowów. Zagrały niesłychaną aktualnością strzyżone na jeża czupryny dygnitarzy (mało kto zdobył się wówczas na odwagę podzielenia się tym spostrzeżeniem ze swoim sąsiadem) i szerokie szary zdobyjące piersi władców, ze znanymi wszystkim procentami normy. Nie zdołała nikogo zmylić tuba staroświeckiego gramofonu — groź-

wnętrzny; i trybuna, i uroczysta pompa na placu ze znakomitym echem, i upiorna młodzież, i hurra-patriotyzm, i część artystyczna na akademii, i owe transparenty...

Każde słowo padające ze sceny znajdowało rezonans na widowni, która je natychmiast kwitowała grzotem oklasków. Dejmek się i tym razem nie omylił: była za pięć dwumasta.

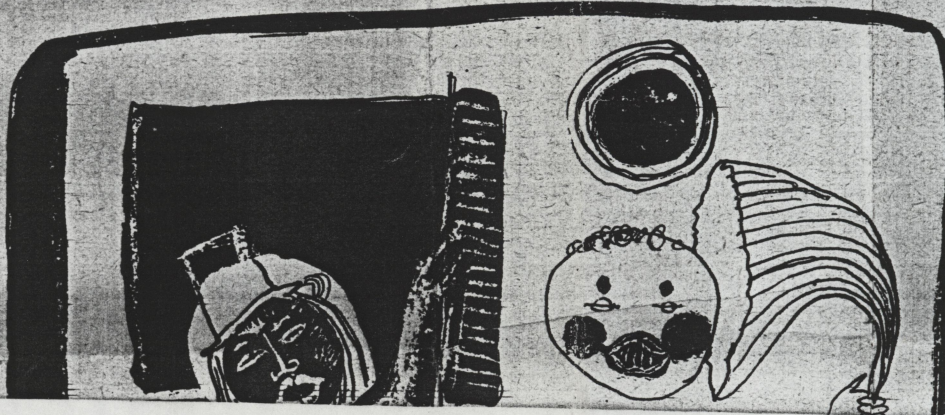
Gdy w kilka miesięcy potem Skuszanka pokazała Szekspira — było już po burzy. Po wielkich wstrząsach nastąpił spokój, rozważa i refleksja. Dokonywał się coraz głębszy rozrachunek z przeszłością.

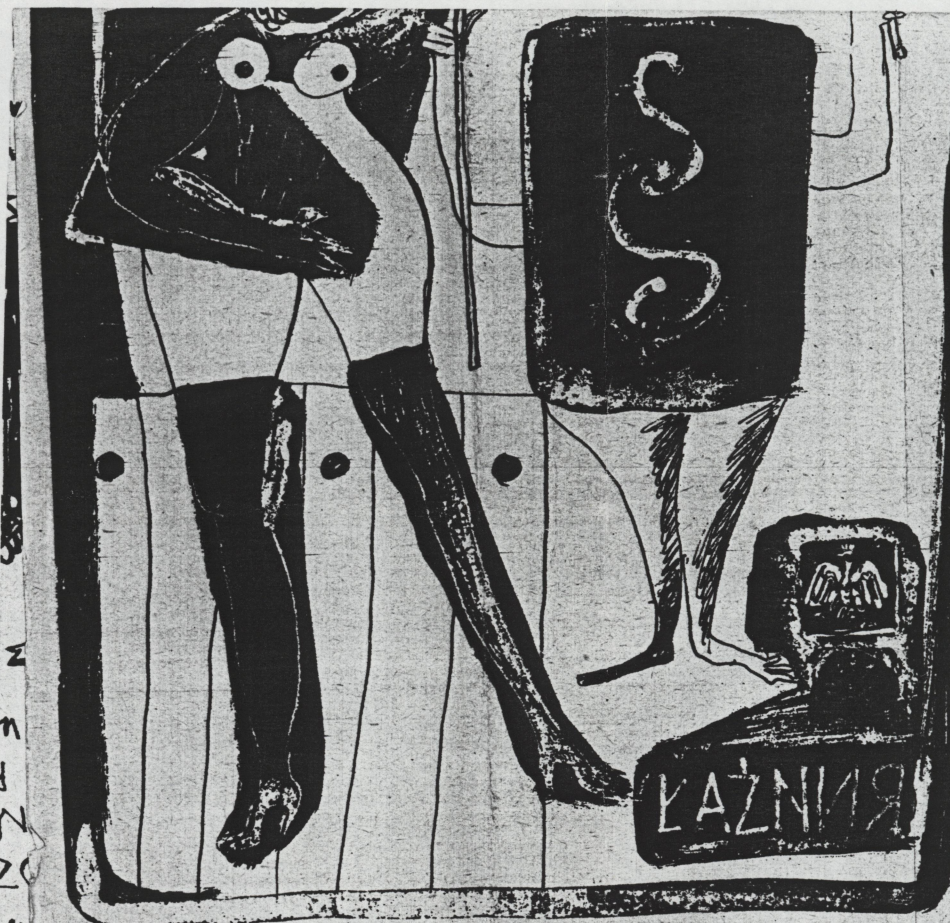
„Miarła za miarłkę” została ukazana przez teatr nowohucki jako dramat polityczny o nadużyciu władzy.

Przerażająco współczesna była górująca nad całością wieżyczka rodem z koncentra, i ów żołnierz w bojowym hełmie kroczący miarowo po murze, strzegący naszych myśli i sumień, i kostiumy błyszczące plastikiem, i wreszcie transparenty z podobizną namiestnika. Nikt na widowni nie miał wątpliwości, że jest to jeszcze jeden argument w dyskusji o tzw. wypaczeniach. Nawet nie mieli ich niektórzy krytycy.

Od bytności Skuszanki minął prawie rok. Wiele się u nas zmieniło. Były wzrosty temperatury politycznej i jej spadki.

I wreszcie w okresie intensywnego szukania nowych dróg zjawiał się w Warszawie teatr z Katowic z „Balem manekinów”.





„ŁAZNIA” MAJAKOWSKIEGO

Rys. Eug. Markowski

na choć „upojną” pieśń Optymistyki brzmiała aż nazbyt współcześnie.

Niektórzy krytycy, strwożeni niedwuznaczną wymową przedstawienia, zaczęli twierdzić z uporem, że „Łaźnia” to satyra na biurokrację. I choć widzowie zdawali sobie sprawę, że myśli inscenizatora sięgała o wiele głębiej — nikt nie protestował. Działo się to, przypominam, przed XX Zjazdem.

*

Minął rok. W naładowaną elektrycznością atmosferę wkroczył śmiało mało znany w Warszawie, ambitny teatr kielecki. Pokazał drugą sztukę Majakowskiego — „Pluskwę”.

Od czasów „Łaźni” Majakowski stał się pisarzem niemal sztandarowym. Pamięć o łódzkim przedstawieniu przetrwała przez wstrząsy XX Zjazdu — więc mały teatr przy Królewskiej wypełniony był po brzegi. Znów, tak jak przed rokiem, oczekiwano politycznej sensacji.

Ostrze satyry Majakowskiego zwróciła inscenizatorka nie tylko przeciwko mieszczaństwu podgryzającemu młode pędy socjalizmu, lecz również spotęgowała tkwiące u autora ostrzeżenie przed ośłupieniem i zmechanizowaniem życia, jakie niesie ze sobą wypaczenie idei socjalistycznych.

*

Jest 11 października 1956 roku. Za kilka dni dokonają się w Polsce historyczne przemiany.

W Teatrze Narodowym Dejmek. Pokazuje tym razem „Święto Winkelrida”. Wszyscy dobrze pamiętamy te dni. Wystarczyła najmniejsza aluzja, by cała widownia wiedziała dokładnie o co i o kogo chodzi. Sztuka sprzed lat dziesięciu, z innej niemal epoki, zabrzmiała zastraszająco aktualnie. Przyczynił się do tego oczywiście cały sztafaż ze-

Sama sztuka (choć dobrze, że została nam pokazana) nie rokowała specjalnych nadziei: dramat dość oryginalnie pomyślany, jednak napisany nienajlepiej, nie posiadający poza interesującą otoczką fabularną miąższu intelektualnego i politycznego. Zespół aktorski — na przyzwyczajonym poziomie, taki do jakiego przywykliśmy w przeciętnym polskim teatrze. Cała zatem nadzieja była w inscenizatorze.

Już z dokonanego wyżej krótkiego przeglądu kilku spektakli wynika, że główny ciężar spoczywał często właśnie na barkach inscenizatorów. Oni to podnosili utwory z innej epoki do rangi dramatów współczesnych. Oczywiście pod warunkiem, że dzielnie im w tym sekundował scenograf.

Takiego duetu artystycznego zabrakło teatrowi katowickiemu.

Nic więc dziwnego, że spektakl nie chwycił. Bo cóż śmiać może obchodzić współczesnego naszego widza, który musi znaleźć swoje miejsce w skomplikowanej nowej rzeczywistości, obłudny i bezwzględny kapitalista pragnący skaptować przywódcę socjalistów? Cała ta problematyka jest dla nas odległa prawie o lat dwadzieścia — pochodzi z innej epoki.

Teatr nie zdobył się niemal na żaden akcent współczesny. Jedna tylko scena poruszyła widzów — świetny dialog dwu delegatów o drodze do socjalizmu. On jeden w sztuce Jasieńskiego jest politycznie u nas żywy.

Teatr katowicki nie zdołał szczególnie ożywić utworu ani wewnątrz — opracowując tekst, ani zewnątrz — przy pomocy inscenizacji i scenografii. Trafił również na niewłaściwy dla tej sztuki okres: ta problematyka nie mogła liczyć na rezonans dzisiejszej naszej widowni. Nic też dziwnego, że przedstawienie „Balu manekinów” przeszło prawie bez echa.